

FRAGMENT

Wojciechowiec



BEZ

ZNIECZULENIA

GMORR

© Copyright by Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.

© Copyright by Juliusz Wojciechowicz

Wrocław 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Korekta i redakcja:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

JUSTYNA MASERAK

Skład:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Ilustracja i projekt okładki:

PRZEMYSŁAW RYBA

fragment książki

Wydanie I

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana
w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie
z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych
systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.*

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.

ul. Domeyki 16 53-209 Wrocław

www.gmork.pl

email: wydawnictwo@gmork.pl

tel: 795 626 546

Juliusz Wojciechowicz

**BEZ
ZNIECZULENIA**

(fragment)



SPIS TREŚCI

Wstęp	5
Dziwny jest ten świat	9
Konkurs	16
Chwył marketingowy	22
Gniew	25

WSTĘP

Wkraczacie w świat cudownie schorowanych pomysłów, a mi przypadł w udziale zaszczyt przygotowania Was do tej podróży, przedstawienia kierowcy pojazdu pozbawionego hamulców. Nie zapinajcie pasów, tym zajmą się sanitariusze – po lekturze.

Wpierw wyobraźcie sobie jaja dziobaka.

To ważne, chociaż wiem, że nie każdy ma ochotę na takie widoki. Pozwólcie, że Wam pomogę, jako biolog z wykształcenia i przeogromny miłośnik zwierząt, szczególnie tych wizualnie popieprzonych (patrz w Google: blobfish). Zróbmy to odpowiednio: od ogółu do szczegółu, jak na prawdziwych detektywów przystało! Na początek zwizualizujemy sobie australijskiego ssaka po całości: bobrzy ogon, gumowaty kaczki dziób i czarne, tłusciutkie ciało pomiędzy. Łapy na bokach, błona pławna, pazurki, jakiś kolec jadowy wprost z taniego s.f. internetowej produkcji.

Macie to?

– A co z jajcami?! – zawołacie, znużeni dygresyjnością powyższych wywodów.

Zatem donoszę: są okrągławe, niewiele większe od jąder niemowlaka, brązowawe, nakrapiane czerwienią alergicznej wysypki i prawdopodobnie nie pachną wanilią, chociaż powinny być porządnie umyte, ponieważ stekowce sporą część życia spędzają w wodzie. Samice składają je najczęściej po dwa, aczkolwiek ciekawy jestem, jak bardzo pokrętną ścieżką podreptały Wasze myśli.

Czy przez sekundkę nie zahaczyliście o międzygatunkową erotykę? Jeśli tak, to wyśmienicie nadajecie się na mariaż purnonsensu z czarnym humorem, charakteryzujący opowieści Wojciechowicza. Jeżeli wyczuliście podstęp i ani na chwilę nie zboczyliście w zбочzone, to miejcie się na baczności! Ta książka Was zmieni – według mnie na lepsze. Nie obiecuję jednak metamorfozy bezbolesnej, środków znieczulających nie załączono.

Żarty na bok, przynajmniej do końca wstępu. Rozpoczynamy podróż po kilkudziesięciu mikroświatach składających się na obraz Polski odbity w źrenicach autora. Podobnie jak u Christophera Priesta, świat przedstawiony daleki jest od obiektywizmu, nasze umysły łączą się na krótkie chwile z umysłami protagonistów, przez co jeszcze mocniej dostaje się czytelnikowi po głowie. Oj, zaszumi pod czaszką! Opowiadania, niczym płonące kielony wody, spływają do gardeł, w pierwszej kolejności wywołując szok. Potem przychodzi czas na śmiech, refleksję, wstyd, a nierzadko złość lub po prostu smutek. Pozostawcie więc lepiej nadwrażliwość w realnym świecie. Niech śpi albo zdycha gdzieś w kącie, złościca jedna. Pośmiejmy się jak na miłośników groteski przystało: z samych siebie – bez barier i zahamowań, szyderczo, głośno i szczerze. To zawsze wychodzi na dobre.

Bohaterom zaklętym w krzywym zwierciadle rzeczywistości puszczają nerwy niczym w *Dzikich historiach* – fenomenalnym filmie argentyńskiego reżysera Damiána Szifrona – i jeśli o największych mowa, to Wojciechowicz otarł się nadzwyczaj boleśnie o twórczość Rolanda Topora. Tysiące głębokich zadrapań doprowadziły do zakażenia, do kongenialności, oby nigdy nie leczonej. Językiem lepkiem od porównań autor serwuje nam przekąski tak cholernie ciężkostrawne, że jeszcze długo odbijają się czkawką prze-

myśleń; natchnienia spływają z szeregu filmów, książek, codziennych zmagania, czyli mowa tu o postmodernistycznej intertekstualności z najwyższej półki, a tę najbardziej cenię.

Bez znieczulenia, nie oszukujmy się, często zaboli; poczerwienieją oczy, piach zgrzytnie w zębach – szczególnie gdy odnajdziecie się charakterologicznie w którejś z historii. Trochę jak przy rysunkach Marka Raczkowskiego czy stand-upach Abelarda Gizy. Dlatego postawcie na śmiech – ten oczyszcza – a brud zbiera się nam wszystkim pod paznokciami od tysięcy lat, odkąd w ogóle zaczęły ludzkości rosnąć.

Przyznam, że zaskoczyła mnie różnorodność stylistyczna i fabularna serwowanych treści, przez co pochłonąłem całość w jeden długi wieczór, wsiąkając bez reszty w mrok zalegający pod czaszką pisarza, czarująco gęsty. Nie mogło być inaczej, skoro wyobraźnia Wojciechowicza przesiąkła lekturami Carrolla, Kinga, Simmonsa, Gombrowicza czy Orbitowskiego – bez wstydu może zacząć dreptać do ich szeregu, choćby i w różowych papciach. Rzucam znanymi nazwiskami nie bez powodu; nie dla szpanu, a już na pewno nie życzeniowo. Uważam, że u progu literackiej kariery potrzebne są niczym głos Tracy Chapman dźwiękom gitary akustycznej. Lektury niedopasowane do gustu potrafią zrazić do książek, a tego my, pisarze, nie chcemy.

Skacząc na główkę między kartki *Bez znieczulenia*, wprost w głębokie bagna lepkich, brązowoszarych zdań, traficie do niby innej, a tak dobrze znanej rzeczywistości. Tej naszej. Polskiej.

I najważniejsze: pamiętajcie, że gardła wiszą nam wszystkim na tyle nisko, by nie trzeba było do nich skakać.

MAREK ZYCHLA

*Świat jest komedią dla tych, którzy myślą,
i tragedią dla tych, którzy czują.*

Horace Walpole

*Zarówno optymista, jak i pesymista są
przekonani, że świat stoi przed nimi
otworem. Jednak tylko ten drugi
zdaje sobie sprawę którym.*

Andrzej Poniedziałki

DZIWNY JEST TEN ŚWIAT

Dla Oli

Bylem tłusty, łysy i nosiłem niemodne okulary o haniebnie grubych szklach. Oprócz walki z nadwagą, wypadaniem włosów i metryką nieubłagane zmierzającą ku sześćdziesiątce, toczyłem do niedawna bój z moją eksmałżonką o resztki skromnego majątku. Byłem też, i jestem nadal, poczytnym, ukrywającym się pod pseudonimem autorem kilkunastu bestsellerowych kryminałów. Na przekór losowi i marudzeniu wydawcy udało mi się zachować pełną anonimowość. Nie bywam na spotkaniach autorskich, nie udzielam wywiadów na żywo, żadna fotka mojej prawdziwej facjaty ani – czego się zawsze najbardziej obawiałem – pulchnej, pingwiniej sylwetki nigdy nie wyciekła do gazet, Internetu, telewizji i innych mediów, lubujących się w ukazywaniu swoich ofiar w niekorzystnym świetle. Tylko redaktor Owczarek – zobowiązany prawnie klauzulą milczenia – z wydawnictwa Noir, dawniej Literatka, kojarzył moje, równie obrazoburcze co wygląd, nazwisko z pseudonimem literackim. Dla świata byłem nic nieznaczącym karkanem, Romanem Parową, do czytelników kłaniał się,

z mrocznych, ociekających krwią okładek, niepokorny, cyniczny i nadzwyczaj elokwentny Jack Cross.

Na początku nie było różowo – wydawca nalegał na spotkania z czytelnikami, na oficjalne wywiady i udział w prelekcjach na dużych festiwalach literackich. Ja, choć zdawałem sobie sprawę, że świetnie piszę, chciałem uniknąć konfrontacji literackiego alter ego z nieznośną formą biologicznego bytu. Chyba naprawdę zrobiłem duże wrażenie na wydawniczych selekcjonerach, bo już po kilku tygodniach impasu otrzymałem zaliczkę i umowę na kolejne powieści z serii „Krwawy półksiężyc”. Wbrew obawom ludzi ładujących w moją pisaninę tony pieniędzy, anonimowość autorska okazała się marketingowym strzałem w dziesiątkę. Wierni czytelnicy i wielbiciele Jacka Crossa, już po ukazaniu się pierwszej powieści, ufundowali nagrodę dla osoby, której uda się odkryć prawdziwą tożsamość tajemniczego skryby. Nazywano mnie objawieniem nowoczesnego kryminału, uszlachetnioną wersją Raymonda Chandlera, czarodziejem suspensu i cytuję: „niekwestionowanym mistrzem konwencji *hardboiled*”.

Zanim się ktokolwiek połąpał, wydawnictwo Literatka zmieniło nazwę na Noir i przeniosło działalność do Emiratów Arabskich, a moja nota biograficzna na skrzydełkach okładek ograniczała się do komiksowej facjaty a’la Humphrey Bogart z nieodłącznym papierosem w ustach, ukrytej w półcieniu gangsterskiego kapelusza i kilku zdawkowych informacji typu: „Wybitny prozaik, autor kryminałów, tłumaczony na «x» języków”.

Byłem więc anonimowym pisarzem, którego konto notowało coraz większe wpływy. Bawiło mnie niezmiernie przesiadywanie w małych, zapomnianych kafejkach przy zakurzonych stolikach, niekiedy w bezdusznym obdarty

z prywatności galeriach handlowych, z laptopem na kolanach. Obserwowałem ludzi, notowałem, zdania same spływały na ekran komputera. Nikt nie miał prawa skojarzyć łysiejącego, podstarzałego i samotnego grubaska, jakich wielu w takich miejscach, z wielkim pisarzem Jackiem Crossem. Nigdy nie epatowałem bogactwem, nadal jeździłem kilkunastoletnim, nadżartym przez korozję passatem, nosiłem workowate ciuchy, tani zegarek. Nawet wierny laptop domagał się natychmiastowej wymiany, strasząc logo nieistniejącej już firmy i posklejany srebrną taśmą kablem zasilającym. Tylko czasem zastanawiałem się, co mogą sobie pomyśleć o mnie czytelnicy. Jak prezentuję się w ich wyobrażeniach, jaką narodowość mi przypisują?

Tak to właśnie wyglądało i, nie licząc bolesnego w finansowych skutkach rozwodu, było nieźle. Do czasu. Do momentu, kiedy pewnego ranka zadzwonił telefon.

– Czy z panem Romanem Parową mam przyjemność?
– Wybrzmiało w zapoconym odsłuchu mojej sfatygowanej nokia. Niemal widziałem ironiczny uśmiech na twarzy rozmówcy, kiedy wymawiał moje nazwisko.

– Tak, w czym mogę pomóc? – wydukałem nieco wytrącony z równowagi. Nie byłem przyzwyczajony do telefonów innych niż: „Jack, przypominam, że zostały trzy tygodnie do dedlajnu. Książka musi wyjść o czasie”.

Nawet Owczarek tytułował mnie „Dziękiem”.

– Czy Teresa Parowa, z domu Kędziołek, to pańska żona?
– Eks – odparłem, wietrząc kłopoty. – Alimenty płacę na czas, jeśli o to chodzi – dodałem na wszelki wypadek.
– Otóż w tym rzecz, że pańska żona zaginęła...

Dalszego wyводу sierżanta Malinowskiego słuchałem z przyklejonym bananem do twarzy. Z całych sił próbowałem nie dać po sobie znać, jaka radość mnie

rozpiera. Wisienką na torcie okazała się wiadomość, że w niewyjaśnionych okolicznościach zaginęła cała jej żyjąca rodzina, ze schorowaną, dziewięćdziesięcioletnią seniorką rodu na czele. Byłem wolny, w końcu wolny. Fakt, że natura poskąpiła nam potomstwa, teraz okazał się wybawieniem. Nie obchodziło mnie, co, jak, gdzie i kiedy. Koniec z ukrywaniem części dochodów, koniec z przerażającym widmem ujawnienia prawdziwej tożsamości Jacka Crossa. Pijawka poszła po prostu do piachu, piekła, czy – jak kto woli – na łono Abrahama, ewentualnie porwali ją kosmici. Wszystko jedno, ważne, że zniknęła.

Poczułem lekkość. Prawdziwą, fizycznie odczuwalną lekkość. Do tego stopnia, że w przyplýwie radości stanąłem na wadze. Kiedy rok temu postanowiłem po raz ostatni wystawić ją na próbę, nieznośne cyferki pokazały sto siedemnaście kilogramów. Od tamtej pory panicznie bałem się nadwyrężyć Bogu ducha winne urządzenie. Skala kończyła się na stu dwudziestu. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, tego pamiętnego ranka licznik zanotował sto pięć kilogramów. Czyżbym bezwiednie aż tyle zrzucił? Natychmiast wciągnąłem podwójną porcję naleśników ze śmietaną i dżemem. Należało mi się.

Kolejno następujące dni i tygodnie muszę zaliczyć do najszczęśliwszych w moim życiu. Od czasu wydania pierwszej powieści nie czułem nic równie przyjemnego. Choć obżerałem się do upadłego, kilogramy znikwały w zastraszającym tempie. Zanotowałem również niepokojąco szybko rosnący meszek na wygłancowanej latami i specjalnym smarowidłem z filtrem UV łysinie.

I nie uwierzycie. Nogawki spodni zaczęły się kurczyć. Zawsze leżące na butach, wiecznie skracane i fastrygowane przez lokalnego krawca, teraz sięgały najwyżej do pół łydki.

Nie minął kwartał, a w domowym lustrze, które wcześniej omijałem szerokim łukiem, zamiast straszyc mar-nym, okularnym metr sześćdziesiąt pięć w tłusto-łysej oprawie, witał mnie przystojny, wysportowany, do tego wyraźnie dużo młodszy mężczyzna. Nie mogłem wyjść z podziwu i samozachwytu. Wstyd się przyznać, ale po-trafiłem stać kilkadziesiąt minut przed zwierciadłem i delektować się własną, idealnie mocną szczęką, ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi, muskularnym tor-sem, starannie wyrzeźbionymi ramionami i udami wyczy-nowego sprintera. Nawet ten zazwyczaj smutno zwisający między nogami makaronik nabrał sprężystej elastyczno-ści, a co najważniejsze, rozmiaru godnego rozplodowego byczka.

Godzinami mógłbym przeczesywać gęstą, choć krót-ko przystrzyżoną czuprynę i wpatrywać się w stalowo-niebieskie oczy, które, nie potrzebując wątpliwej ozdoby grubych szkieł okularów, przenikały mnie na wylot cy-niczną, męską pewnością siebie. Ach, i ten wymarzony trzydniowy zarost, na cienkiej granicy między nonsza-lancką elegancją a hipsterskim pseudozaniedbaniem.

Potrzebowałem nowych ciuchów. Zakładanie starych, rozciągniętych, dresopodobnych imitacji garderoby nie wchodziło w grę. Z rozkoszą mierzyłem się i ważyłem. I jeszcze raz, i ponownie dla pewności. Liczby nie kłama-ły. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, osiemdziesiąt kilo-gramów beztłuszczowej masy ciała, osiemdziesiąt centy-metrów w pasie, sto piętnaście w kłacie.

Takie ciało zasługuje na markowe garnitury.

Wydałem krocie. Na eleganckie jedwabne koszule i marynarki o odcieniu czerni tak głębokim, że wyglądały jakby sam szatan je osobiście utkał, na krwistoczerwone

krawaty, błyszczące dostojeństwem buty, paski, srebrny sygnet i tytanowy zegarek. Kilka cyferek zniknęło z konta równie sprawnie i bezboleśnie, jak zadowolony z wysokości napiwku kurier. Byłem gotowy na podbój świata.

Zacząłem od wizyty w eleganckiej restauracji w centrum miasta. Bezwiednie usiadłem w klimatyzowanej sali dla palących i zamawiając drinka, uświadomiłem sobie, że poprosiłem o szkocką z lodem, której nigdy nie lubiłem. W jeszcze większe zdziwienie wprawił mnie fakt, że szukam zapalniczki po kieszeniach, a chęć zapalenia cygaretki Cohiba jest nie do odparcia. Przecież nigdy nie miałem w ustach nawet papierosa. Na szczęście lokale tej klasy, gdzie rachunki opiewają na kwoty średniej krajowej, dysponują niezwykle usłużnym i obrotnym personelem. Nie minęło dwadzieścia minut, a ja delektowałem się drugą szkocką, ćmiłem cygaretkę, w palcach obracając gustownie wygrawerowaną zapalniczkę Zippo. Z głośników popłynął *Dziwny jest ten świat* Niemena.

– Mister Cross? Jack Cross? – Wyrwało mnie z zadumy nad nowym pomysłem umeblowania mieszkania, tudzież planów pozbycia się leciwego volkswagena passata na rzecz choćby aston martina.

– Yes, indeed – odpowiedziałem z lordowskim wdziękiem, wydmuchując smugę dymu przed siebie. Dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie, że uśmiechnięta i niezwykle stremowana kobieta zwraca się do mnie po angielsku, nieśmiało trzepocze rękami i w zbieleńszych od ściskania dłoniach trzyma egzemplarz mojej ostatniej powieści *Krwawy półksiężyc – dożynki*, a ja kretyn, Roman Parówa, ot tak zdradzam swoją tożsamość, w języku, którym nie władałam nawet w stopniu podstawowym.

– I knew it! – wykrzyknęła z zapalem nastoletniego podlotka.

Zakręciło mi się w głowie. Coś w niej trzeszczało, a mrowienie pod czaszką stawało się nie do zniesienia.

– Przepraszam szanowną panią, ale ja niespecjalnie się dziś czuję – wymamrotałem, jednak mój głos ewidentnie obniżył się do zmysłowego, nieco zachrypniętego barytonu, a z ust płynęła wzorowa angielszczyzna, ubarwiona starolondyńskim akcentem.

– Ach, przepraszam. Ja po prostu nie mogę wyjść z podziwu, że wygląda pan dokładnie tak, jak sobie pana wyobrażałam. Koszula, garnitur, srebrna biżuteria, nawet cygeretki pan pali. I ten zimny, cyniczny wzrok... Czy to szkocka z lodem? – Trochę zaczynał mi przeszkadzać jej marny, zapewne wyuczony na miejscowej uczelni akcent, niemniej postanowiłem wysłuchać radosnego słowotoku do końca. – Założę się, że jest pan rodowitym Anglikiem... Ten styl, te maniery. Proszę wybaczyć porównanie, ale kojarzy mi się pan z Jamesem Bondem, taką idealną mieszanką Seana Connery’ego i Daniela Craiga.

– Ach, tak? – udałem zainteresowanie.

– Tak... Gdyby pan mógł mi książkę podpisać... Tak się cieszę... tak mi głupio... Proszę się nie martwić, nie wydam pana... nikt się nie dowie... Ach, Jack Cross we własnej osobie...

Słuchałem jednym uchem, drugim próbowałem wyłowić niezrozumiałe słowa nieco histerycznej piosenki sączącej się z głośników.

Gdzieś za oknem przemykał podstarzały, tragikomicznie śmieszny, łysy grubasek z wysłużonym laptopem pod pachą.

Serdecznie mu współczułem.

KONKURS

Dla Aśki

Idzie. Ostrożnie, z namaszczeniem stawia stopy jedna za drugą, jakby od jej chodu zależały losy świata. Spowity sztuczną mgłą korytarz zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Maria sunie statecznie, prawie nie odrywając złotych sandałów od podłoża. Niebieskie szaty łopoczą niczym żagle na wietrze, biały welon z gracją opada na ramiona. Świetlisty, upstrzony połyskującymi cekinami tren podąża za nią, wiję się leniwie, pełźnie, mieni bielą i purpurą, podczas gdy potężne turbiny przemysłowych dmuchaw wtłaczają masy powietrza, mieszając je z białymi tumanami chemicznej mglistej poświaty. Dyskretne języki kolorowych reflektorów muskają idącą postać, rytmiczne dźwięki bębnow zdają się ją unosić nad ziemią. Psychodeliczne miauczenie harfy, urywany szloch kilku sitarów i drżące dziecięco głosiki małych dzwoneczków dołączają do uroczystego orszaku. Szum widowni stopniowo narasta, by przez niecierpliwe brzęczenie rozgniewanego roju przejść w ryk tysięcy potępieńców.

Maria wkracza na scenę. Na środku, niczym krzew Mojżesza, płonie futurystyczny stół z wielkimi neonami

w kształcie krzyży. Za potężnym meblem, prawie nikiącym na tle pokrytego cyfrowymi płomieniami blatu, siedzi trzech jurorów – sędziów i katów w jednej osobie. Święta i nieomylna Trójca – wyrocznia dyktująca trendy i mody, decydująca o przyszłości swych herosów. *Vox Dei*, za którym posłusznie podąża *vox populi*, by za pomocą elektronicznych impulsów choć po części uczestniczyć w boskim dziele kształtowania świata. Pierwszy z lewej, wiecznie świeży, wiecznie młody, zawsze poetycko elokwentny, blisko pięćdziesięcioletni celebryta ciekawie zerka znad najdroższych we wszechświecie okularów. W myślach powtarza jak mantrę przygotowane dzień wcześniej recenzje. Obrazoburcze i groteskowe „gotowce”, dzięki którym zmiesza z błotem lub wyniesie na ołtarze wybranego uczestnika Wielkiego Konkursu. Na środku, z przyklejonym do twarzy głupawym uśmiechem niedorozwiniętego dziecka, rozpościera się pierwsza dama telewizji śniadaniowej, caryca serialowych tasiemców, królowa plebsu, bogini gospodyń wiejskich. Akurat ona nie ma żadnych przygotowanych wcześniej wypowiedzi. „Było pięknie, emocjonalnie, bosko. Jestem na tak!” – powtarza po każdym występie, by było równo, poprawnie i nikomu nie zaszkodziło. Z prawej, mocno posunięta w latach czarna mamba o niewyparzonemu języku, pluje rynsztokową łaciną tak gęstą, że w mocno konserwatywnej telewizji publicznej jej wypowiedzi sprowadzają się do jednego wielkiego „pii”.

Wierni fani piosenkarki-buntowniczkii śledzą jej oratorium w nieocenzurowanym Internecie, by następnie cytować je jako własne na wszystkich dostępnych portalach społecznościowych.

Maria zaczyna tańczyć. Płasa w rytm dziwnej arabskiej, a może indyjskiej muzyki. Coraz szybciej zatacza kręgi,

zaczyna nucić; cicho, potem coraz głośniej. Z jej ust płyną melodyjne słowa, z jednej strony miękkie i czyste, z drugiej zaś chropowate, twarde, wręcz bolesne. Nikt nie ma pojęcia, co to za język przypominający mieszaninę chińskiego z aramejskim. Nie ma to żadnego znaczenia. Publiczność jest oczarowana, jurorzy zainteresowani. Kobieta wiruje coraz szybciej, jej szaty zlewają się w jeden wielki całun, który oplata ją tak ciasno, że wygląda jak olbrzymi kokon. Rytm bębnowi osiąga tak zawrotną prędkość, że przypomina jeden pulsujący łomot. Maria piszczy, jęczy, rzezi. Nagle nieruchomieje; muzyka zwalnia, a ona jednym zgrabnym ruchem wyciąga spod fałd błękitnej szaty krwawy ochłap, wydający zduszone, płaczliwe dźwięki.

Czy to lalka, czy prawdziwe dziecko?

Publiczności jest w tej chwili wszystko jedno. Tłuszcza szaleje z zachwytu, znudzona wcześniejszym występem Bożydara, który z wysokości trzymetrowego pała wygłaszał monolog własnego autorstwa ku chwale i czci zapomnianego już od dawna zespołu – Sztywny Pal Azji. Co prawda mieli okazję śledzić jego przygotowania; na bieżąco obserwować, jak ostrzy koniec długiego, sosnowego pnia, jak po łokcie zanurza ręce w beczułce z wazeliną, a potem intensywnie wciera ją w krocze, lecz nikogo nie zdziwiły trzy krzyże-neony świecące jednoznacznie na czerwono. Jurorzy nie mogli być na „tak” przy tak małym widowiskowym występie.

Ale teraz to co innego. Chociaż Maria jest dopiero w połowie performance’u, wszyscy czują, że będzie faworytką. Artystka ponownie wpada w trans. Znowu kręci się w szaleńczym tempie, lecz tym razem towarzyszy jej „nowonarodzony”. Niezdarnie macha rączkami i nóżka-

mi, bezradnie szybuje nad głową matki, ograniczony jedynie długością jej ramienia i elastycznej pępownicy. Maria zręcznie uwodzi publikę. Raz po raz „zarzuca łąso” w stronę widowni albo „puszcza jojo” w kierunku jurorów. Wszyscy s¸ oczarowani, wręcz zahipnotyzowani niesamowitymi pomys¸ami pretendenci do ścisłego fina¸u Wielkiego Konkursu.

Nagle muzyka cichnie, powietrze przecina b¸ysk stali. W r¸kach performerki lśnią dwie maczety. Z pr¸dkośc¸¸ światła szatkuj¸ opadaj¸, ci¸gle jeszcze wierzgaj¸ krwawy och¸ap mi¸sa. Tylko telewidzowie maj¸ okazj¸ zobaczyć tę akcj¸ w zwolnionym tempie i zauważyć, jak zgrabnie artystka wyci¸ga schowane w pod¸odze srebrne tace i b¸yskawicznie rozstawia w ten sposób, by skrawki mi¸sa opad¸y wprost na nie, idealnie na środku. Na scen¸ wbiegaj¸ ubrane w kuse, czerwone szorty hostessy i przechwytuj¸ skrz¸ce si¸ tys¸ciami barw zakrwawione naczynia. Rozchodz¸ si¸ na trzy strony i cz¸stuj¸ oniemia¸ z zachwytu publicznośc¸ jeszcze ciep¸ymi, wci¸¸ drgaj¸cymi kawa¸kami mi¸sa. G¸owa noworodka trafia na st¸ jurorski, gdzie ju¸ p¸on¸ zielonym świat¸em krzy¸e aprobaty.

– Jesteś jak owsik szerz¸cy anarchi¸ w jednolitym g¸wnie mainstreamu, jak pierwiastek ka¸owy w sterylnie czystej krainie domestosu, jak kleks na białej bieliźnie... jak... Jestem na tak!!!

Celebryta zgrabnie dobiera formu¸ki ze swojego schowka pamieci, najwyraźniej szczerze zachwycony i pozytywnie zaskoczony świeżośc¸¸ i oryginalnym pomys¸em m¸dziej uczestniczki.

– Jesteś kur... piii zajebista! Najbardziej wkur... piii mnie to, że kur... piii lepiej odpierd... piii ni¸ ja. Piii, piii, piii, jestem kur... piii na tak.

Czarna mamba aż pluje z zachwytu. Wydłubuje czarnym, długim pazurem modre oczęta ze zmasakrowanej główki, co chwilę turlanej po blacie jurorskiego stołu. Przy aplauzie publiczności dostaje zgodę artystki na zachowanie ich w celu przerobienia na kolczyki – prawdziwe „coolczyki” dla prawdziwej rockmanki.

– Emocjonalne, niebiańskie, wspaniała metafora – duka pulchna aktorka, rozdziawiając mięsiste usta, wypełnione kawałkiem dopiero co odkrojonego policzka. Wygląda teraz jak karykatura glonojada rozplaszczonego na szklanej tafli akwarium, którego jedynym życiowym celem jest ustawiczne parcie na szkło. – Jesteś jak prawdziwa Matka Ludzkości, Matka Natura, Matka Wszechświata, dobra matka, która karmi nas ciałem syna swojego. Alma Mater!

Ogólny zachwyty sięga zenitu. Publiczność w studio od dawna stoi. Niekończąca się owacja i gromki aplauz łączą się z setkami tysięcy wyrazów aprobaty mknących cyfrowymi autostradami pod postacią elektronicznych impulsów, które niezmordowanie przelicza telewizyjny komputer.

Tylko jedna osoba nie podziela wszechobecnej radości. Za kulisami do swojego występu przygotowuje się Błazej. Jak zwykle na szarym końcu, wszędzie ostatni i zawsze gorszy. Już wie, że nie ma szans po tak zjawiskowym występie Marii. Co chwilę przymierza do ramienia ciężką, drewnianą konstrukcję w kształcie litery T. Monstrualne pięciocalowe gwoździe pobrzękują w kieszeni luźnych jeansów. Jego performance nosi tytuł *Dobry łotr* i Błazej wie, że nawet gdyby jakimś cudem udało mu się samemu przybić do krzyża, to nie jest w stanie dorównać występującej przed nim koleżance. Nie ma mowy, by

prześcignął ją w kreatywności, a telewizzowie pewnie już wydali ostateczny werdykt.

Jak zawsze postanawia jednak walczyć.

Do końca.

Dosłownie.

CHWYT MARKETINGOWY

Zatroskany Jezus szedł piaszczystym brzegiem jeziora Genezaret. Na Boskim czole odznaczały się zmarszczki utrapienia, po Boskim karku, skrząc refleksami słońca, spływały krople Boskiego potu. Syn Człowieczy martwił się okropnie o swoją wiarygodność w oczach coraz mniej licznych, za to coraz bardziej dociekliwych wyznawców.

Tak, ponoć wiara czyni cuda – pomyślał, a głośno dodał: – Tylko że teraz jest zupełnie na odwrót; to cuda czynią wiarę.

Zawsze, kiedy był mocno zatroskany o los swoich owieczek, miał w zwyczaju spacerować i gadać sam do siebie. Bóg Ojciec w swojej nieskończonej mądrości chyba trochę jednak przesadzał z wymaganiami wobec Syna swego jedyne. Jak tak dalej pójdzie, to zostaną mu jedynie apostołowie, kilku wiernych „pomimo wszystko” maniaków-fanatyków i bezrobotny Duch Święty przysypiający z nudów na ramieniu.

A co z planem przejęcia władzy nad światem? Jak przekonać ludzkość do swojej Boskości z tak skromnym wachlarzem możliwości i cieniutkim arsenałem mocy? Co prawda Ojciec wyposażył go w pakiet cudów, którymi mógł do woli dysponować, lecz były to jednorazowe

gotowce, wyreżyserowane spektakle – taki pakiet podstawowy, wręcz socjalny. Oczywiście, każdy cud dało się wykorzystywać wiele razy, ale jak długo można zwodzić ludzi chodzeniem po wodzie tylko po jednym jeziorze (w innym poszedłby przecież na dno jak kamień), zamienianiem wody w wino (wyłącznie w jedną stronę), czy wreszcie wskrzeszaniem po raz setny biednego Łazarza, który i tak już od dawna balansował na granicy schizofrenii. Najgorzej było wtedy, gdy został niejako „zmuszony” do wyczarowania kilku tysięcy bochenków chleba i tłuź ryb, podczas gdy głodna była zaledwie pięćdziesięcioosobowa grupka wiernych słuchaczy.

– Tak, miarka się przebrała – stwierdził Jezus. – Czas najwyższy na największy cud wszechczasów, tak spektakularny, by zapamiętany został do końca świata i jeden dzień dłużej. Czas na ZMARTWYCHWSTANIE.

Trochę nie w smak była mu wizja męczeńskiej śmierci na krzyżu, lecz przy odrobinie szczęścia i odpowiednich działaniach marketingowych ludzkość już zawsze będzie rozpamiętywać Wielką Ofiarę Mesjasza-Zbawiciela. Przy ździebku wyobraźni i pomysłowości człowiek stworzy rytuał karmienia się nawzajem ciałem i krwią Odkupiciela pod jakże symboliczną postacią chleba i wina.

Używając telepatii, jedynej zdolności wrodzonej, a nie nabytej w pakiecie cudów, Jezus wezwał do siebie Piotra – najstarszego i najbardziej rozgarniętego ze wszystkich apostołów. Objął mu plan działania, poinstruował o szczegółach „trzykrotnego zaparcia się nim kur zapieje” i wybrał żołnierskie ucho, które miało zostać odcięte Piotrowym mieczem podczas oblawy w ogrodzie oliwnym. Dokładnie opowiadał o teatrze z Faryzeuszami i Herodem w rolach głównych oraz o przystankach podczas

drogi krzyżowej, nazywanych później stacjami. Następnie polecił wezwać Judasza przed swoje Boskie oblicze. Judasz szlochał straszliwie nad okrutnym losem Mistrza. Prosił, wręcz błagał na kolanach Pana i Pasterza rodzaju ludzkiego, by oszczędził mu wiecznego potępienia i hanielnego losu zdrajcy, by nie skazywał na stanie się wiekuistym symbolem zdrady, tchórzostwa i zakłamania.

Pan jednak był nieugięty. Plan wymagał ofiar.

Tymczasem Piotr zadumał się nad jakże zmyślną i szczywaną strategią – chwytem marketingowym Króla Niebieskiego i nucąc pod nosem „Panie, dobry jak chleb”... trenował precyzyjne cięcia świeżo naostrzonym mieczem na zielonych głowach soczystych arbuzów.

GNIEW

Ranek jest miły. Śliczny, cudowny, majowy poranek. Miłym czyni go choćby to, że nie zwracam śniadania; ani jedną ani drugą stroną. Notoryczna „stres-kupa” i „stres-paw”, jak mam w zwyczaju nazywać swoje poranne problemy fizjologiczne, dzisiaj najwyraźniej wzięły wolne. Kawa, papieros i broń Boże nie myśleć. Podliczam majątek zgromadzony w słoiku po ogórkach.

Pięć złotych, kurwa!

Zadanie bojowe na dzisiaj: przetrwać za garść monet, wliczając w to fajki. Otwieram paczkę i sprawdzam, czy aby na pewno są tam tylko trzy papierosy. Są, trzy pomięte namiastki szczęścia. Zaglądam do lodówki. Czar poranka pryska. Wszechpustka absolutna. Otchłań nicości. Brakuje tylko muzyki Ennio Morricone i pustynnych „kłaczków”, którymi wiatr targałby po zimnym zadupiu chłodziarki. W głowie układam listę zakupów, robionych zazwyczaj na pobliskim targu. Dziesięć bułek, margaryna, mleko... Wróć! Sześć bułek, mała margaryna, mleko w worku...

Powinno wystarczyć. Po dwie kanapki na posiłek, mleko na żołądek, ale co z fajkami? Trzy sztuki to strasznie mało. Najwyżej będę palił po pół, a „calaka” zostawię na wieczór. Jakoś to będzie. Carpe diem! Co za kretyn to wymyślił? Na pewno jakiś cholernie bogaty kretyn.

Ubieram się powoli, zerkając z ukosa na gadające głowy wypełniające wypukły ekran starego telewizora. Ostatni przedstawiciel wartościowych przedmiotów czekający na czarną godzinę. Niedługo dołączy do reszty sprzętu w pobliskim lombardzie. Sprzedam go jak tanio, zużytą dziwkę, za równowartość flakonu wódki i dwóch paczek papierosów. Wiernego towarzysza ostatnich pięciu lat samotności i bezrobocia.

Przemierzam krótki odcinek klatki schodowej w zamyśleniu. Miarowy stukot podkutych martensów zdaje się zakłócać walkę smrodu fekaliów z ostrym zapachem lizolu. Odwieczne zmagania odoru ludzkich odchodów z barbarzyńską wonią higieny, typową dla miejskich latryn publicznych.

Widzę go z daleka. Stoi na chwiejnych nogach, lustruje okolice w poszukiwaniu ofiary. Niczym sęp wietrzący padlinę, namierza wzrokiem przechodniów, próbując wyczytać cień empatii z ich twarzy. Zatrzymuje wzrok na mnie i już wiem, co mnie czeka. „Daj dwa złote. Rzuć się szlugiem. Poratuj na browara”.

– Masz może fajeczką poczęstować?

Uprzedzam pytanie o dwa złote szybkim i mocnym ciosem. Lewy w żołądek łamie go wpół, prawy hak unosi go w powietrze i rzuca na glebę. Wracająca z zakupami staruszka-dewotka podnosi krzyk.

– Ludzie, na pomoc! Gdzie jest policja?!

Chwytam betonowy śmietnik i ciskam w kierunku jażgoczącej, świętojebliwej wiedźmy. Babcia przyjmuje kule na klatę i rozpląszcza się na chodniku. Ze zgniecionej czaszki wypływa czerwona jucha, mieszając się z szarą galaretowatą mazią.

– Już po niej – myślę na głos i przez chwilę czekam, czy nastąpi wniebowzięcie. Nic się nie dzieje. Widocznie datki

na tacę były niewystarczające, by zapewnić sobie odejście w chwale wiekuiestej. Rzucam się biegiem w stronę kompleksu handlowego. Po plecach przebiegają przyjemne ciarki, w uszach dudni, a świat zaczynam widzieć na czerwono. Wpadam do pierwszego z brzegu zakładu. Usługi kosmetyczne. Nie mogłem lepiej trafić. Ciche trzask sprężyny zwalnającej ostrze noża skutecznie zagłuszają potężne suszarki. Trzy dziunie oddają się kompleksowym zabiegom upiększającym.

– W czym mogę po...?

Zimna stal zamyka usta spalonej sztucznym słońcem blondynie. Jej głowa groteskowo odgina się do tyłu, szeroka rana gardła rozwiera się i ziejże, wesoło bulgocząc. Przez chwilę zastanawiam się jak by wyglądała, gdyby w te drugie krwawe usta wsadzić sztuczną szczękę. Podwójnie wyszczekana kretyńka, zgrzytająca podwójnymi zębami – śmieję się do rozpuku. Grubasce, która właśnie poddawała się zabiegowi pedicure, wbijam w oko lokówkę leżącą na stoliku obok. Skwiercząc wychodzi z drugiej strony czaszki z niezwykłą łatwością. Pusty łeb – myślę z rozbawieniem. Jej tłuste, świeżo wydepilowane nóżki podrygują niczym gotujące się parówki. Trzecia sztuka, wygramoliwszy się z fotela, z pocieszną trwałą w trakcie realizacji, rzuca się na kolana. Przerywanym głosem, z głową na wysokości mojego rozporka, cicho miauczy:

– Nie zabijaj, zrobię wszystko.

Przez chwilę rozkoszuję się wizją fellatio w tak nietypowych okolicznościach przyrody. Szybkim ruchem skręcam kark niedoszłego lachociąga i wybiegam na zewnątrz. Słońce świeci, ptaszki śpiewają, w powietrzu czuć wiosnę. Jestem szczęśliwy.

Połówką cegły wybijam boczną szybę w przejeżdżającym srebrnym oplu i wyciągam zaskoczony kierowcę. Dwa szybkie ciosy nożem, pod jedną i drugą pachę, uwalniają mnie od natręta wrzeszczącego coś o odszkodowaniu, prawnikach i bandytach.

Rozsiadam się za kierownicą i z piskiem opon ruszam w stronę głównej arterii miasta. Mam zamiar urządzić małe igrzyska – taki *Carmageddon*.

– To co z tą fajką, masz czy nie?

Z wielkim bólem wracam do rzeczywistości. I to akurat w momencie, kiedy do akcji wkroczyły policyjne helikoptery.

Znowu odpląnałem, kurwa.

Z uczuciem obrzydzenia do samego siebie wyłuskuję zmiętego papierosa z paczki i podaję sępowi. Nawet nie próbuje mnie prosić o nic więcej. Ciekawe, na jak długo odpląnałem w czasie rzeczywistym. Czy były to ułamki, czy całe sekundy. Chyba nie chcę wiedzieć.

Na targu kupuję pięć bułek i dziesięć papierosów – ukraińskich, na sztuki, bez filtra. Chrzanić margarynę i mleko. Mocna herbata i ukraińskie śmierdziuchy powinny załatwić sprawę głodu i wrzodów żołądka.

Do domu wracam okrężną drogą, bacznie wypatrując wrogów czyhających na moje fajki.

Juliusz Wojciechowicz – rocznik ‘77, mieszkaniec Lublina. Prozaik, krótkoformista twórczo skupiony na literackiej grozie, grotesce oraz literaturze fantastyczno-obyczajowej. Nominowany do Nagrody Polskiej Literatury Grozy im. Stefana Grabińskiego w kategorii „Najlepsze opowiadanie grozy wydane w 2014 roku” Publikował w antologiach: *Człowiekiem jestem* (Morpho, 2013), *Toystories* (Morpho, 2014), *Księga wampirów* (Studio Truso, 2014), *Horror na Roztoczu 2: Insomnia* (Alter Manes, 2015), *City 3* (Forma, 2016). Pomyślnawca i współautor książek *Pokłosie* (Gmork, 2015), *Hard-boiled* (Gmork, 2015).



Kupując wspierasz:



– Czesy poczytności opasłych potworów spod ręki Stephena Kinga minęły wraz z nim samym. Czas się pogodzić z tym faktem, jak i z tym, że mamy schyłek lat dwudziestych i niedługo wkroczymy w trzecią dekadę. To i tak cud, że ludzie jeszcze czytają – mawiał redaktor Kapuściński, podpowiadając, w jaki sposób „ciąć” powieść, by była adekwatna do gustów współczesnego czytelnika. – Po co te dłużyzny? Zamiast: „wydarzyło się to późnym listopadowym popołudniem, gdy całe miasto wyglądało jakby pokrywała je płynna warstewka odbitego światła i deszczu. W takie dni deszcz jest zimniejszy od śniegu, a wszystko wydaje się podlejsze, bardziej kanciaste. W taki dzień zostaje się w domu, czyta książkę i pije słodkie kakao z białego, grubego kubka” wystarczy: „rzecz dzieła się w listopadzie”. Ludzie mają wyobraźnię, po co o tym wszystkim pisać?

Bestseller



STEFFEN BESSERWISSER

Gdyby bohaterów serialu *Black Mirror* przenieść do mikrorzeczywistości kreowanych przez Wojciechowicza, z przerażenia skuliliby się w sobie i załkali niczym nowo narodzone niemowlaki.

PAWEŁ DEPTUCH – DZIKA BANDA

**Tam, gdzie umiera rzeczywistość, rodzi się szaleństwo.
Tam, gdzie kończy się szaleństwo, zaczyna się
BEZ ZNIECZULENIA**

www.gmork.pl



fb.com/wydawnictwo.gmork

DZIKA BANDA
PORTAL (NIE CAŁKIEM) KULTURALNY

CREATIO FANTASTICA
1999 - 2008 - 2014



RZECZGUSTU

artofreading.pl